



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: DWA ŁYKI EROTYKI

Niepełna dwa lata temu przewaliła się przez kraj dyskusja na temat tego, czy wyświetlać, czy nie - na ekranach telewizyjnych - filmy z „pogranicza”.

Nie wiem, kto wpadł wówczas na to idiotyczne określenie dla dzieł znanych, a często nawet wybitnych reżyserów zachodnich; filmów najczęściej na wysokim poziomie artystycznym, ale szokujących ze względu na zawarty w nich ładunek erotyzmu, perwersji, seksualnego wyuzdania, daleko wybiegający poza obowiązujące dotąd kanony kina „niepornograficznego”. Chodziło m.in. o filmy takie jak „Wielkie żarcie”, „Satyricon”, „Imperium zmysłów”, a z mniej artystycznie doskonałych - „Emmanuelle”... Miał się z tego zrobić nieledwie telewizyjny „festiwal”, chyba pierwsza tego rodzaju impreza na skalę światową...

Zaimponowała mi wówczas postawa red. Barbary Kazimierczuk z „Ekranu”, która potrafiła - prawie samotnie - przeciwstawić się pomysłowi naszych speców od telewizyjnej kultury. A przede wszystkim - gromadzie jej kolegów po fachu, spośród których wielu rzuciło się natychmiast do popierania pomysłu „umasowienia” wspomnianych dzieł filmowych.

Red. Kazimierczuk nie powodowała prudera. Po prostu miała absolutną rację, uważając, że filmy w rodzaju „Wielkiego żarcia” czy „Imperium zmysłów” nie pojawiają się w twórczości wybitnych reżyserów metodą „łańcuszkową”, ale są pewnymi „ewenementami”, że u genezy ich powstania leży często chęć zadokumentowania jakiegoś twórczego protestu, wyłamania się z ustalonych konwencji. A wreszcie - że te wszystkie filmy pojawiały się w wieloletnim „rozzucie” czasowym. „Zmasowanie” ich w telewizji, nadałoby owym incydentalnym zjawiskom filmowym zupełnie inny wymiar i kształt, niż w krajach ich powstania. Wreszcie - filmów typu „Wielkie żarcie” nikt w ich „rodzinnych” krajach nie eksponował wobec wielomilionowej, zróżnicowanej pod względem wiekowym i kulturowym, widowni telewizyjnej.

Ostatecznie filmy z „pogranicza” słusznie nie weszły na telewizyjny ekran. Pozostawiając w ten sposób w nieutulonym żalu starych i młodych „smakoszy” artystycznego

kina, staruszki z zapadłych przysiółków oraz dzieci w wieku przedszkolnym. Czyli: stałych polskich „ogładczy” wszystkiego, co „leci” w telewizji. A na całej dyskusji zyskała tylko redakcja „Ekranu”, która dzięki użyczeniu swych łamów dyskutantom, zdobyła dodatkowe rzesze śledzących owe filmowo-kulturowe zapasy czytelników.

Nie deklaruję się bynajmniej po stronie przeciwników filmów z „pogranicza” czy w ogóle kina erotycznego. Więcej, nie widzę powodu, dlaczego tematyki, którą niemal już masowo ogląda się na ekranach video, nie wprowadzać także na kinowe ekrany. Może w określonych kinach, na określonych seansach i dla określonej pod względem wiekowym publiczności. Może w końcu lepiej, oficjalnie wyświetlać zrobiony z jakąś kulturą film erotyczny, niż przymykać oczy na fakt, że po prywatnych, domowych „salkach projekcyjnych” krążą, nagrane na kasety, wyjątkowo - nierzadko - plugawe pod względem estetycznym (nie mówiąc już o „poziomie” artystycznym) filmy „porno”...

Aliści przy wprowadzaniu na ekrany takiej właśnie tematyki nie wolno tracić przecież poczucia realizmu. Przede wszystkim zaś - zdrowego rozsądku. No i zachowywać umiar w określaniu: co jest czym.

Zapowiadano w prasie od pewnego czasu wejścia na ekrany kin kilku filmów z „pogranicza”. Ale z jakiego? Co za filmy? Jakich autorów? Czy z proponowanego kiedyś przez telewizję zestawu?

Coś tam znajomi „kiniarze” bąkali w prywatnych rozmowach, sami nie bardzo zorientowani, co i jak. Potem okazuje się, że zakupiono trzy (!) filmy, spośród których właściwie tylko „Blue Velvet” z Isabellą Rossellini można podciągnąć pod miano filmu „erotycznego”. Drugi to „Betty Blue” Beineixa. A trzeci to... w ogóle nie wiadomo. Chciano także kupić „Emmanuelle”, (którą realizację; a czy ta ważne?). Ale... podobno pieniędzy nie starczyło.

Wreszcie któregoś dnia wchodzi na ekran szumnie zapowiadana „Betty Blue”. Prasa jest pełna ekscytującego zgiełku, telewizyjni reporterzy czatują z kamerami i mikrofonami na opuszczających kino pierwszych widzów. Publiczność bije się pod kasami o bilety. A tymczasem...

Tymczasem film nieznanego w Polsce francuskiego reżysera Jean Jacquesa Beineixa, nakręcony dla amerykańskiego dystrybutora, znanej wytworni „20-th Century Fox”, jest po prostu doskonale zrobionym melodramatem o pewnych aspiracjach obyczajowo-psychologicznych. I może tylko tym różni się od wielu podobnych oglądanych u nas filmów, że nagość, także i męskiego bohatera, ukazywana jest tutaj w sposób zapełnię otwarty i naturalny. I poza może rozpoczynającą film sceną aktu miłosnego pary bohaterów (zresztą nakręconą w sposób kulturalny i wręcz wyestetyzowany), jest to „lustro, jakich wiele” na

ekranie, o związku uczuciowym dwojga młodych ludzi. Trochę wyalienowanych, trochę zagubionych w otaczającym ich świecie.

Owa opowieść o pętającym się bez celu po kraju mechaniku samochodowym czy też hydraulik, który napisał książkę, w jakiej wartość i możliwość wydania sam nie wierzy, oraz ex-kelnerce ogarniętej pasją wydania tej książki, ta opowieść zaczyna jednak w pewnym momencie nabierać drapieżności i dynamizmu. Dzieje się tak od chwili, gdy zaczynamy sobie wraz z bohaterem filmu uświadamiać, że tytułowa Vetty cierpi na postępującą coraz bardziej chorobę psychiczną. To właśnie dlatego oryginalny tytuł, nadany przez reżysera brzmiał: „Rano 37,2° C”. Co można rozumieć jako: „Stan podgorączkowy”. Stan wykluwającej się choroby, uzewnętrzniającej się początkowo psychicznym i fizycznym „rozedrganiem”.

Należy „Betty Blue” do filmów perfekcyjnych. Doskonale rzemiosło reżyserskie, świetny dialog, piękne zdjęcia (które – w scenach miłosnych – przypominają chwilami estetykę rodem z czasopisma „Playboy”). Charakteryzuje ten film duże poczucie humoru i nawet – swoista poetyckość. A na koniec: bardzo dobra gra aktorska głównej pary bohaterów.

Trzeba tu dodać, że rolę Betty kreuje wybijająca się francuska aktorka (i także wzięta modelka!) młodego pokolenia – Beatrice Dalle. Dziewczyna o oryginalnej, fascynującej urodzie, która potrafi nie tylko prezentować własną nagość na ekranie, ale także swoje umiejętności dramatyczne. I może jedynie zbyt już „demoniczne” zakończenie „Betty Blue” sprowadza film Beineica o jeden stopień niżej od poziomu, na jaki zasługuje.

A końcowa konkluzja jest taka: widzowie i tak by przyszli na „Betty Blue”, bo film wart obejrzenia. I mógłby się doskonale obejść bez zupełnie niepotrzebnej, nie pokrywającej się z istotą tego filmu, wątpliwej „reklamy”.

Pierwodruk: „Kamena”, 1987, nr 25, s. 8-9.